

Słowianie wiedzą, jak zrobić krzywdę bliźniemu

13 czerwca 2016

Tak przynajmniej twierdził Helmold – XII-wieczny niemiecki kronikarz, który opisywał chrystianizację ludów słowiańskich. Według niego nasi przodkowie byli uparci, podstępni i bezwzględni. Brutalnym prześladowaniom misjonarzy nie było końca. Mimo tego udało się poskromić „lwa”, wchodząc wprost do jego paszczy.

Przede wszystkim należy wyjaśnić, dlaczego podejmowano tak ryzykowne wyprawy. Czemu znajdowali się śmiałkowie chętni nieść wiarę chrześcijańską poganom, mimo iż istniało duże prawdopodobieństwo, że swoją podróż zakończą śmiercią w cierpieniu i upokorzeniu? Czemu władcy gotowi byli łożyć duże sumy na kolejne wyprawy, kiedy raz po raz świeżo nawrócona ludność obracała się przeciwko misjonarzom i wracała do dawnych wierzeń?

Aby odpowiedzieć na pierwsze pytanie, musimy lepiej zrozumieć mentalność ówczesnych ludzi. Długość życia w średniowieczu była o wiele krótsza niż dzisiaj, a śmierć stanowiła nieodłączny element codzienności. Niski poziom higieny był przyczyną licznych chorób, na traktach grasowali nieskrępowanie bandyci, co chwila wybuchały konflikty zbrojne. Nie można było mieć pewności, co przyniesie jutro. W tej sytuacji najlepiej było odwołać się do siły wyższej – do Boga. Wiara dawała nadzieję, że po krótkim i pełnym cierpień życiu na ziemi człowieka czeka nieskończenie długie i szczęśliwe życie wieczne. Przeszkodą była jednak ludzka grzeszność. W średniowieczu Bóg postrzegany był jako surowy władca, skwapliwie liczący każde ludzkie zło i decydujący o zbawieniu na zasadzie niemal matematycznego rachunku win i zasług. Istniało więc realne ryzyko wiecznego potępienia. Jeśli było się osobą duchowną, sytuacja paradoksalnie wyglądała jeszcze

gorzej. Według ówczesnej doktryny kapłan był odpowiedzialny za zbawienie podległych mu dusz. Innymi słowy – wszystkie grzechy człowieka, znajdującego się pod opieką duszpasterską danego biskupa były traktowane jako grzechy tegoż właśnie biskupa.

Istniała jednak do nieba droga „na skróty”. Było nią męczeństwo za wiarę. Każdy męczennik, niezależnie od tego jak żył, miał zagwarantowane natychmiastowe zbawienie. Z tego powodu podróż misyjna jawiła się jako bardzo kusząca perspektywa dla co bardziej gorliwych kapłanów. Oczywiście nie możemy przyjmować, iż wyprawa chrystianizacyjna postrzegana była tylko jako samobójcza podróż gwarantująca zbawienie. Nawrócenie niewiernego ludu na wiarę chrześcijańską to wielka zasługa w oczach Boga, więc w przypadku sukcesu misjonarz wiele zyskiwał. Także w wymiarze doczesnym – nowo powstała wspólnota potrzebowała przecież przewodnika duchowego. A któż nadawał się do tej roli lepiej, niż misjonarz cieszący się już uznaniem i znający dobrze zwyczaje lokalnej społeczności?

Jaki jednak interes w finansowaniu tak niepewnej ekspedycji miał świecki władca? Znów w pierwszej kolejności musimy odwołać się do sposobu myślenia ludzi średniowiecza. Panował pogląd, iż wiarę należy krzewić przy pomocy siły. Pogan trzeba zmusić do przyjęcia chrześcijaństwa, lub w razie oporu wyciąć ich w pień, ponieważ mają niebezpieczne konszachty z siłami zła. Takie podłoże ideologiczne dawało świetny pretekst do wszelkiego rodzaju łupieżczych wypraw zbrojnych. Misjonarze towarzyszyli więc zwykle wojsku by rozpocząć pracę nad duszami tych, którzy przeżyli chrystianizację „ogniem i mieczem”. Z perspektywy rządzących był to zazwyczaj bardzo pożądany proceder. Nawrócone plemiona stawały się bardziej przewidywalnym i spokojniejszym sąsiadem. Zwykle składały hołd lenny, co poza korzyściami materialnymi oznaczało również dodatkową siłę żywą na polu walki, oraz w dłuższej perspektywie możliwą asymilację i trwałe powiększenie terytorium. Papiestwo było żywo zainteresowane chrystianizacją na wschodzie Europy, ponieważ powiększająca się liczba

wiernych oznaczała również większe wpływy oraz dochody ze świętopietrza (specjalnego podatku, wysyłanego przez władców duchownemu zwierzchnikowi Kościoła). W 1147 roku papież Eugeniusz III wydał bullę „Divina dispensatione”. W niej zwalniał chrześcijan z północnowschodniej części Europy z udziału w krucjatach przeciw muzułmanom. Nakazywał jednak organizację wyprawy przeciw poganom nadbałtyckim.

Samo zadanie nawracania nie należało do łatwych. Jak pisał Helmold „Ze wszystkich krajów północy sama tylko ziemia sławiańska pozostała surowszą od innych i do nawrócenia mniej skłonna”. Kronikarz podkreślał, że w jego opinii taki stan rzeczy nie wynika z zaniedbań samych misjonarzy, którzy w pełni oddani sprawie nie oszczędzali ani bogactw ani życia. Brak postępów w chrystianizacji krain słowiańskich spowodowany był niezwykłym uporem ich mieszkańców. Jedno z przytaczanych przez niego dawnych podań mówiło o zakonnikach, działających wśród nadmorskiego plemienia Ranów. Ewangelizatorzy odnieśli początkowo pewne sukcesy, udało im się nakłonić mieszkające na wyspie plemię do zmiany religii. Założyli tam nawet dom modlitwy pod wezwaniem świętego Wita. Jednak po pewnym czasie Ranowie odpadli od wiary, wygnali kapłanów, a świętego Wita uczynili swoim najwyższym bogiem, tym samym całkowicie wypaczając wpajane im przez misjonarzy idee.

Wygności duchowni i tak mogli mówić o wielkim szczęściu. Podczas buntu w 1066 roku Słowianie porwali w Meklenburgu wraz z grupą innych chrześcijan pewnego starca – biskupa Jana. Najpierw pobili nieszczęśnika kijami, a następnie oprowadzali po różnych miastach, aby go ośmieszyć. Gdy dotarli do słowiańskiej stolicy Retry, biskup wciąż nie chciał wyrzec się imienia Chrystusa. Obcięto mu więc członki, pozbawione ich ciało wyrzucono na ulicę, a nabitą na włócznię głowę poświęcono na znak zwycięstwa Radygostowi. Na uwagę zasługuje przedstawiana przez Helmolda heroiczna postawa duchownych. W tym samym okresie w Rzeszowie ukamienowana została grupa mnichów, wśród nich niejaki Answer. Gdy kapłanów zaprowadzono

na męczeńską śmierć, Answer błagał pogan, aby pozwolili mu umrzeć jako ostatniemu. Obawiał się o swoich towarzyszy, nie chciał aby przypadkiem pod wpływem cierpienia w ostatniej chwili życia wyrzekli się tego, w co wierzyli. Co zaskakujące oprawcy przychyłili się do prośby. Gdy wszyscy pozostali mnisi padli martwi, sam Answer z radością również dokonał żywota pod ciosami kamieni.

Z biegiem lat chrystianizacja terenów na wschód od cesarstwa postępowała. Jedną z najbardziej zasłużonych dla tego procesu postaci był biskup Wicelin. Po okresie nauki „pałając najgorętszą gorliwością przemyśliwać zaczął, w jakich by miejscach mógł działać i do jakiego dzieła miał być przeznaczony, żeby się stać kościołowi pożytecznym” – relacjonował kronikarz. Sprawa doszła do uszu nawróconego już obodrzyckiego księcia Henryka Gotszalkowca. Wicelin otrzymał zgodę arcybiskupa hamburskiego Adalberta i pod protekcją Henryka rozpoczął wraz z towarzyszami głoszenie Słowa Bożego w Lubece. Pech prześladował jednak misjonarza, gdyż Henryk niedługo potem zmarł, a kraj pogrążył się w wojnie domowej pomiędzy jego synami. Duchowny powrócił do swojego przełożonego Adalberta, który jakiś czas później postanowił zwiedzić ziemię Nordalbingów. W trakcie podróży do arcybiskupa z prośbą przybyli mieszkańcy Faldery. Była to kraina na granicy świata chrześcijańskiego i ziem słowiańskich. Jej mieszkańcy bardziej przypominali w postępowaniu pogan niż wierny Chrystusowi lud. Prosił więc Adalberta o mądrego księdza. Ten zaproponował Wicelinowi objęcie urzędu, gdyż ich kościół będzie świetnym zapleczem dla podróży misyjnych.

Kapłan z radością zgodził się i rozpoczął pracę. Wtedy, jak opisuje Helmold, stała się rzecz niezwykła: „Natychmiast więc, jak skoro zaczął opowiadać Chwałę Bożą, błogi stan życia przyszłego i zmartwychwstanie ciała, lud nieokrzesany, jakby cudem wielkim, do tego stopnia nowością nieznanego mu dogmatu wstrząśnięty został, że ciemność grzechowa rozpierzchnęła się od blasku promieniejącej chwały Bożej. Na koniec ledwo uwierzyć

można, jakie tłumy ludu w dniach owych szukały lekarstwa pokuty, i rozszedł się po całym kraju Nordalbingów rozgłos o jego naukach.”

Wicelin podróżował po okolicznych ziemiach i nauczał prosty lud. Korygował wypaczone poglądy, godził ze sobą zwaśnionych oraz palił pogańskie gaje i tępił wszelkie przejawy bezbożności. Gdy wieść o jego świętości rozchodziła się coraz dalej, zaczęli przybywać do niego znamienici duchowni jak i świeccy. Opiekowali się chorymi, wspomagali biednych, trwali na modlitwie i troszczyli się o nawracanie Słowian. Z biegiem czasu schrystianizowane ludy słowiańskie same zaczęły podejmować się wypraw pod sztandarem krzyża. Niedawni poganie szybko dostrzegali korzyści płynące z przynależności do zachodniego kręgu kulturowego. Ilość niewiernych stopniowo malała, a przedmurze chrześcijaństwa przesunęło się coraz bardziej na wschód.

Autorstwo: Mateusz Balcerkiewicz

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)

BIBLIOGRAFIA

1. Czapliński Władysław, Galos Adam, Korta Wacław, „Historia Niemiec”, wyd. Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich, Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk, 1981, s. 107-110.
2. „Helmolda Kronika Sławiańska z XII wieku”, tłum. Jan Papłoński, Warszawa, 1861
3. Ludeat Herbert, „Słowianie – Niemcy – Europa: wybór prac”, tłum. Jan M. Piskorski, wyd. Wydawnictwo Poznańskiego Instytutu Przyjaciół Nauk, Poznań, 2000.
4. „Narodziny Średniowiecznej Europy”, red. Henryk Samsonowicz, wyd. Bellona, Warszawa, 1999.
6. „Słowianie wobec integracji Europy: prace poświęcone XII

Miedzynarodowemu Kongresowi Sławistów w Krakowie", red. Maria Bobrownicka, wyd. Universitas, Kraków, 1998.

7. Urbańczyk Stanisław, „Dawni Słowianie: wiara i kult”, wyd. PAN, Wrocław, 1991.